

kwie, dopiero wtenczas przyjął obywatelstwo Toruńskie, kiedy się miał zenić z Barbarą Watzelrodą, to jest między r. 1462 i 1464 i dopiero wtenczas stał się znaczącym człowiekiem, kiedy za nią w posagu wzięto domy, czynsze, role, łąki, złoto, srebro i inne ruchomości, z majątku Watzelroda, bo dopiero od r. 1468, tak często w czynnościach i aktach prawnych występuje; a przedtem, oprócz jednej wzmianki o pełnomocnictwie, ani jednej więcej nie ma w Aktach Toruńskich. A czy obywatelstwo Toruńskie przyjął w r. 1459, czy w trzy lata później r. 1462, to dla świata i nauki rzecz zupełnie obojętna.

Uóż jeżeli na domyśle walke trzeba prowadzić, to uważam, że moje równie są dobre jak i p. Prowego, a może i lepsze, jeżeli do nich dodam te szczegóły, które o tej epoce Krzyżanowski w swoim wspomnieniu Jubileuszowym przytoczył. — Ale wracam do głównego przedmiotu.

Krzyżanowski w swoim Spomnieniu Jubileuszowym, mówiąc o obraniu stanu duchownego przez Kopernika, powołuje się na zdanie Samuela Luter Geret, i czyni to w sposób jak najwięcej oględny, bo ani zdania Gereta, za autentyczne zupełnie nie uważa, ani też w dalszym wywodzie nie powołuje się na świadectwa niczem niezachwiaue; powiada tylko, że tak rozumie Samuel Geret lub też że są *poszlaki* i t. p. Cały więc ten ustęp, że Kopernik około r. 1502, przyjął w Krakowie święcenie kapłańskie, między 1502 a 1509, napisał dzieło: *De Revolutionibus Orbium coelestium*, — nareście że w r. 1510, Łukasz Weislerod, powołał go do Frauenburga, na przeznaczoną dla niego kanoniją, nosi cechę raczej wniosków na prawdopodobieństwie opartych, niż samej prawdy, ostatecznie dowiedzionej.

Zobaczmy jak tu znówu p. Prowe wyraża się o Krzyżanowskim: »Wynalazłszy w Archiwach Katedry Frauenburskiej statuta tejże kapituły, a w tych statutach pod r. 1499 i 1501 wzmiankę o Andrzeju i Mikołaju Kopernikach, jako już kanonikach tejże kapituły, gdzie pod r. 1499, mowa jest o podziale Allodiów, a w r. 1501 że bracia Kopernikowie żądali od kapituły dwuletniego uwolnienia od obowiązków, w zamiarze dokończenia studiów, Mikołaj w medycynie, a Andrzej w literaturze, które im przez kapitułę udzielone zostało, i powołując się na zdanie Gassendego (Vita Coper. p. 6) w tych słowach: »Aliquot post annos (to jest po r. 1500) reversus in patriam, acceptissimus fuit... avunculo suo Luccae Vasselrodio ad Episcopatum promotus, qui... adscripsit illum Collegio Canonico Varmiensium etc.« — tak dalej mówi o Krzyżanowskim — »Krzyżanowski i tu znówu nie był zadowolony z twierdzenia Gassendego, ogólnie przyznanego, i wprowadził jak *najdokładniejsze* chronologiczne wywody, które jak się teraz okazuje, zupełnie są fałszywe; podług niego wstąpił Mikołaj w r. 1502, do duchownego stanu w Krakowie, napisał tam pomiędzy 1502 a 1509. r. swoje znamenite dzieło *De orbium coelestium revolutionibus*, i dopiero w r. 1510. przez wuję swego do Frauenburga na kanonika powołany został. Byłbym pominął to twierdzenie milczeniem, na jakie zasługuje, gdyby nie odcień autentyczności, który

sobie nadał Krzyżanowski, przez dokładne chronologiczne wywody, a tém samém wiarę swoim wiadomościom i powszechnie rozszerzenie ich zjednał.« (4)

Nareście na stronnicy 38 p. Prowe w obszerniejszym ustępie tak mówi o Krzyżanowskim.

»Tylekroć wzmiankowany p. professor Warszawskiego Uniwersytetu, udzielił naprzód w artykule do Biblioteki Warszawskiej 1841 r. tom III pag. 30, a później w Spomnieniu Jubileuszowym w r. 1844. o Koperniku, że w Krakowskich Radzieckich księgach z końca XIV wieku, wynalazł nazwisko Koppirnich. Ma być w tychże, mianowicie w Voluminie—Acta Consularia—rozpoczynającym się z r. 1392. pod rokiem 1396, między nowo przyjętymi obywatelami Mikołaj Koppirnich zapisany, z tym dodatkiem: że za jego prawe pochodzenie i używanie dobrej sławy Czech Dambraw, który od dawnego czasu osiadł w Krakowie, poręcza. Tego Nikolausa Koppirniga, bez dalszego wyvodu, bierze Krzyżanowski za dziada astronoma. Oprócz wiadomości w obu wyżej wzmiankowanych pismach, rozszerzał takową Krzyżanowski w Tygodniku Literackim, w Jordana Rocznikach Literatury Sławiańskiej (1843 r. stron. 247,) oraz w innych, która później przez K. Winarzyckiego w Austrii: Blaetter für Literatur und Kunst 1848. r. V. Nr. 32 przyjęta, i z tamtąd naturalnem następstwem do innych pisarzy przeszła.

Przy stanowczości, którą Krzyżanowski pojedyncze szczegóły swojego wyvodu nacechował, zdawało mi się że to żadnej wątpliwości ulegać nie może, tém bardziej, że cała ta wiadomość nic niepodobnego do prawdy niezawierała. Tém większe było moje zadziwienie, gdy w Krakowie ową wymienioną księgę przez Krzyżanowskiego wynalazł, a na próżno owę przez niego udzieloną wiadomości poszukiwał. Ta pierwsza księga akt konsularnych, jak pisał Krzyżanowski, obejmuje czas od r. 1392—1422. Stronice w niej są paginowane i z tego można widzieć, że żadnej niebrakuje, a przynajmniej, że od czasu przejrzenia jej przez Krzyżanowskiego, żadna uroniona być nie mogła. Rok 1396 rozpoczyna się z paginą 61, jednakże ani na tej, ani na następnym nazwiska Koppirnich nie ma wcale. Również nieznajduje się pomiędzy rokiem 1392—1400, które szczegółowemu przejrzeniu poddałem, sądząc że może Krzyżanowski w oznaczeniu roku się pomylił; nie znalazłem nawet żadnego miejsca, któreby z cytowanemi przez Krzyżanowskiego słowami w związku z podobnie brzmiącym nazwiskiem być mogło.

Uczeni Krakowscy, do których się o wyjaśnienie tego faktu zgłosiłem upewniali mnie, że sami na próżno przytoczonego miejsca przez Krzyżanowskiego szukali. Miałem nawet zamiar udać się do samego Krzyżanowskiego, ale śmierć tegoż, która niebawem po powrocie

(4) I tu znówu nie pewnego, nie ostatecznie rozwikłanego; bo mógł Kopernik pierwsze święcenia kapłańskie przyjąć w Krakowie, tylko wcześniej, przed 1501. r., mógł nawet tam pisać swoje nieśmiertelne dzieło, a kiedy powrócił do Frauenburga na stały już pobyt, o tém także p. Prowe nic powiedzieć nie potrafi.

moim z Szwecyi nastąpiła, stanęła na przeszkodzie.«

Ten zarzut przeciw Krzyżanowskiemu przez p. Prowego uczyniony, bo pomijam inne drobniejsze, byłby najważniejszy, nie co do narodowości Kopernika, bo tej jakaś lóżna cytata o Koppirniku, ani nieutwierdzi ani niezachwieje, ale co do autentyczności dat chronologicznych przez Krzyżanowskiego podanych — byłaby najważniejsza, powtarzam, gdyby p. Prowe w napadzie swoim na Krzyżanowskiego więcej umiarkowania zachował, i niepuszczał się na niegodne poważnego pisarza, drobne naciągania, lub przekręcania słów Krzyżanowskiego, jak to wyżej wyjaśniłem. Krzyżanowskiego znałszy jako sumiennego badacza, który owę cytata o Koppirniku byłby niepodał z takimi szczegółami, gdyby jej albo sam nieczytał, albo też z pewnego źródła nie miał sobie udzielonej. Zarzut więc ten p. Prowego potrzebuje jeszcze wyjaśnienia, bo któż zaręczy że p. Prowe umie czytać pisma XIV stulecia, a być może, że je umyślnie dla dogodzenia swoim widokom, naciąga. (5) *(Dokończenie nastąpi.)*

LISTY DO REDAKCJI GAZETY WARSZAWSKIEJ

I. J. Kraszewskiego.

2.

PODRÓŻ INFLANTCZYKA PO POLSCE

w roku 1793.

(Ciąg dalszy.)

(Patrz Nr. 306.)

Zamek królewski tak opisuje nam podróżny: »Zamek leży między Starém Miastem a Krakowskim Przedmieściem; skryty jest i nie może być widzianym w całości. Z którejkolwiek strony patrzysz, część się tylko odkrywa, ale na tém niewielka strata. Najstarsze budowle czarne, szczupłe, pełne zakątków i łamańcy, ukazują się wyraźniej, świeższe są skryte. Wszyscy niemal królowie starali się powiększać ten gmach, który w coraz nowym smaku i różnych rozmiarach dostawiano. Całość dosyć obszerna, liczy secinami sal i pokoi. Wielki dziedziniec świeższymi otoczony gmachami, stanowi część najgodniejszą uwagi. Wchodząc od Krakowskiego Przedmieścia, na prawo kordegarda i wchod główny, który wiedzie do apartamentów króla, zwróconych ku Wiśle, na lewo wnijscie na drugie podwórze przez które na Stare Miasto się idzie. Wprost jest brama pod jednym ze skrzydeł, wiodąca na dziedziniec do kolegiaty S. Jana. W czasie sejmów, gdy król przyjmuje u siebie, pierwszy dziedziniec cały zapełniają wspaniałe powozy i tłum sług okrytych najwykwintniejszą liberyą.« Autor nieopisał w tém miejscu apartamentów królewskich, które gdzie indziej szczegółowiej maluje; wspomina tylko, że reszta gmachu nie zajęta przez Stanisława Augusta, pustką stała lub użytą była na biura sejmowe i t. p. Niektóre sale służyły za przejścia, w innych jedno zwierciadło, kilka starych krzesel, trochę portretów, cały

(5) P. Prowe powiada, że choć miał sobie wszystkie archiwa w Krakowie otworzone, nie jeden dokument ważny mógł ujść jego uwagi, z powodu, że zbyt ograniczony czas miał sobie na tę podróż zakreślony.

sprzęt stanowiły. O zbiorze portretów królów i sławnych ludzi, mówi że zgromadzony został staraniem Poniatowskiego. Zresztą zamek w którym, jak pisze podróżny, nie było królowej, więc nie było i dworu, dosyć się wydawał smutny i milczący. U stóp gmachu, wzdłuż Wisły, stały budy drewniane, leżały kupy słomy, smieciska ogromne i brudy zalegające aż do rzeki wybrzeże całe. Po zamku mamy tu jeszcze wspomnienia pałacu Prymasowskiego, najobszerniejszego po nim, ale wydającego się nieco za niskim. Umeblowanie jego było starożytnie i składało się z obiciów morowych, adamaszkowych, axamitnych, zwierciadeł w ramach złotych, krucyfiksów i kłęczników; w samych tylko apartamentach Prymasa sprzęty były świeższe, angielskie i kilka nowych zastanawiało obrazów. Teatr jakim był naówczas, nie zasłużył nawet na szczegółowe opisanie; w lewo mieszkali tu aktorowie i aktorki a naprzeciw magazynów komory, stał jakiś drewniany lichy obelisk, niewiem na jaką zbudowany pamiątkę. Pałac posła rosyjskiego przy ulicy Miodowej, zajmował naówczas w niebytności ambasadora, zastępca jego, Jenerał Igelström. Prócz innych, wspomniane tu są jeszcze Saski pałac, którego położenie pochwalił Niemiec; pokazywano mu tu pokój z okna którego August II strzelał dla wprawy do psów, zwabionych wyrzuconemi im kośćmi. Ale zbyt okrutnie tłumaczy sobie nasz niechętny turysta, wprawdzie trudną do pojęcia zabawkę, i przypisuje ją przyjemności zapatrywania się na męczarnie niešťęśliwych zwierząt.

Wspomniałszy trzy pałace Teppera, przy Miodowej, Długiej i Ludnej (?) ulicy, pałac Blanka przy Senatorskiej, autor nasz przechodzi znacniejsze kościoły stolicy. Architektury ich sądzi dosyć surowo, ale nie bez przyczyny, zresztą nie uderzyło go tu nic wcale i opis nie szczegółowy, obejmuje S. Krzyż, Pijarów kościół, Kollegiatę. S. Jana, N. Panny i S. Andrzeja. Mieści się tu anegdota, niewiem o ile prawdziwa, o biednym jakimś obłąkanym zamkniętym u Bonifratrów. Nieznajomy ten przybył do Warszawy w pięknym powozie czterokonnym, stanął na Marywilu i posłał zaraz dowiedzieć się na pocztę czy nie ma listów do niego. Przyniesiono mu tylko jeden czarną pieczętką zapieczętowany; podróżny spojrział, począł czytać, krzyknął, list rzucił w ogień, a sam dostał konwulsyj, które z nadzwyczajną gwałtownością trwały godzinę całą. Gdy go odratowano pokazało się że ogłuchł, oniemiał i zupełnie postradał przytomność. Nie miał z sobą żadnego służącego, a w papierach jakoby nie znalaziono śladu, ktoby był i z kąd się tu dostał. Oddano go więc pod straż Bonifratrów, w których ręce złożono 120 dukatów, które miał przy sobie i pieniądze ze sprzedaży powozu. Domyślano się że to był Francuz, gdyż do służącego mówił tym językiem, a list adresowany był p. Boisblanc. Odiąd cierpiał ciągle katalepsyą i konwulsye.

Na końcu wspomniane są kościoły dyssyden-tów, osobliwie nowy luterski, o którym tu obszerniej. Na Lesznie, w bardzo ciasnym lokalu, odprawiało się nabożeństwo reformowanych. Zaden z placów publicznych warszawskich, zdaniem turysty, nie zasługiwał na to imię a kolumna

Zygmuntowska wydała mu się za wysoką. Rynek Starego Miasta jak widać najwięcej jeszcze miał życia z całej stolicy; oprócz tego, po ulicach pod kościołami pełno było bud przekupni-ów, straganów i sklepików. Przed S. Krzy-żem sprzedawały się chleb, owoce i jarzyny, ryby i w garkuchni pod gołym niebem, jak widać z opisu, flaki, ulubiona potrawa ludu. U wnijsia do Starego Miasta, cytryny, poma-rańcze i lepsze owoce wystawiano; między Sta-rém Miastem i Nowém dymiła także garkuchnia, przechadzali się przekupnie, których tak dobrze zrysował nam Norblin i Canaletto. Noszono też odzież starą, książki, ryciny i w ogóle starzy-zny; w czasie sejmku tylko przekupniom wolno było nowe rzeczy sprzedawać.

Powiększanie się i wzrost szybki miasta przy-pisuje podróżny w wielkiej części sejmom i lu-dności którą one ściągaly do stolicy. »Przed pięćdziesięciu laty, powiada, poseł kontentował się jedną izdebką; dziś mu potrzeba całego pię-tra i stajni i wozowni. Jeżeli żonaty i to nie-wystarcza, bo za nim jedzie żona, a tój trzeba miejsca na toaletę i adoratorów.« Wzrost Warszawy tak go uderzał, że za pięćdziesiąt lat obiecywał jej miejsce zaszczytne między naj-piękniejszymi europejskimi miastami.

Nadewszystko zwrócił oko cudzoziemca różno-barwny strojem i fizjognomią tłum uliczny, pełen ruchu i ożywienia, rozdzielający się na dwie wielkie klasy, ubiorem narodowym i tak zwanym niemieckim. Polskie ubranie, śmiesznie tu opisane, wydało się mu podobnym do ko-biecego, a kwadratowa czapka charakterystyczną jego cechą, wraz z wąsami, których nie nosił kto się całkiem po niemiecku przebrał. Najpo-ciesniejsze były przystrojenia klasy średniej, która chwytając coś z obu ubiorów, stworzyła sobie trzeci i odrębny. Ci panowie nosili czę-sto frak, a do niego żółte lub czerwone buty safianowe, głowę upudrowaną pokrytą roga-tywką z pod której wyglądały pukle i harbeut-el, lub głowę wygoloną i wąsata przykrywał kapeluszn niemiecki, a do żupana i kontusza przyplątywały się pończochy i trzewiki.

Stroje średniej klasy kobiece, podobne były do niemieckich; częścią ich najoryginalniejszą była jubka krótka, futerkiem oszyta z wiszącymi rękawkami, którą na wierzch wdziewano. Żebracy w długich łachmanach różnobarwnych, obwisłych do pięć. żydzi i żydówki, nieuszli także oka obserwatora. Oprócz tój podstawy uli-cznego ruchu, kręciło się mnóstwo wielkie wspaniałych powozów, osobliwie w czasie sej-mu; począwszy od bogatego kupca nikt niecho-dził pieszo, zwłaszcza kobiety, nawet w naj-piękniejszą porę, a z tego powoźcu z pojazda-mi rozminąć się nie było można. W dniu waż-niejszego posiedzenia sejmowego, więcej jak po-wiada, związało się powozów w Warszawie, niż w ciągu miesiąca, naliczyć ich było można w Wiedniu i Berlinie. Toż konnych było mnóstwo, każdy kto trzymał powóz miał też wierz-chowe konie i jezdnych ukazywała się liczba wielka. A każdy jadący wierzchem, nie obszedł się bez dwóch lub trzech lokajów za sobą.

Najpiękniejszymi i najbogaciej uposażonemi sklepami były Potockiego, Röslera, Jazewi-cza i Hempla, gdzie, jak pisze, sprzedawano wszystko, począwszy od piórek do zębów aż do

powozów, od papieru do angielskiego piwa. Modą było uczęszczać i kupować w tych ma-gazynach, których ceny nadzwyczaj wysokie, nieodpowiadały wartości wyrobów zagranic-nych wprawdzie, ale polskim tańszym niedoró-wnywiających. Wyjątkiem była krajowa fabryka powozów Dangla, na ogromną skalę produkuj-ąca, zawsze mogąca dostarczyć żadanego poja-zdu, wedle najświeższej mody londyńskiej, ale też droga jak angielska.

Sąd autora o przemyśle, handlu i wewnątrz-niej administracji krajowej surowym jest bar-dzo, ale w wielkiej części usprawiedliwionym. Zwłaszcza uwagi o handlu zbożowym i kon-sumpcyi zdają się nam słusznymi. Dosyć jest nawet szczegółów o zaopatrzeniu stolicy w chleb, drzewo i inne pierwszej potrzeby do życia za-pasy. Przebiega w ten sposób Niemiec wszystkie artykuły handlu i dowodzi, że się z ich ceną, pochodzeniem, sposobem nabywania i sprzedaży, jak na cudzoziemca dostatecznie obeznał. Nie-kóre wymienione tu ceny mogą być dzisiaj ciekawe: tak naprzykład pisze, że w zimie 1792 r. obiad w garkuchni pośledniejszej, z zupy, jarzyny, sztuki mięsa i deseru złożony, kosztował trzy złote; w lepszej nieco, dwoma potra-rami powiększony, cztery do pięciu, w najpa-radniejszych, z ośmiu potraw z deserem, płaco-no sześć złotych do dziesięciu. Prostý sługa nie mógł się za mniej jak za półtora złotego wyżywić. Są tu ceny win, piwa, sukna, obu-wia i. t. p. a wedle autora dwa razy droższą była Warszawa od Prus, Saxonii i Austrii. Zwłaszcza dla cudzoziemców, których żydzi oszukiwali bez miłosierdzia.

W całym mieście zajezdnych domów lepszych było tylko trzy czy cztery, co się ówczesnym życia sposobem tłumaczy dla nas łatwo. Naj-pierwszą była austerya pod Białym Orłem na Tłomackim. — Tłomackie, dodaje podróżny, jest to wielki podwórzec, dość czysto utrzymany, z dwoma fontannami w pośrodku (pompy) oto-czony budowlami różnej wielkości świeżo wznie-sionemi. Zbudował to wszystko Szultz, zięć Tep-pera, który miał maniją konstrukcyjną. W War-szawie samęj i okolicach wznosił do sześciu-dziesiąt domów, które odprzedawał lub rujno-wał. Wychodząc z Biblioteki Załuskich wcho-dziło się na to podwórze, ozdobne na przodzie szylde-m z orłem. Wewnątrz hotel ten urzą-dził Niemiec Polz; odznaczał się on czystością apartamentów, ich rozmiarami, dobrém świa-tłem i powietrzem, ale zarazem drożyzną. Aparta-menta płaciły się od 50 do 60 dukatów mie-sięcznie, a obiad kosztował tu od 4 do 6 zło-tych. W r. 1792 płacił autor za trzy pokoje miesięcznie 15 dukatów, a później za dwa w ty-dzień po dwa czerwone złote dawał. Usługa była dobra, powozy do najejcia, woda i wino znośne, a co najwięcej, bezpieczniej niż gdziein-dziej, i ciszej bo po dziesiątej pojazdów w po-dwórze nie wpuszczano. Sześciu pacholków spra-wiało całą noc straż ogniową, chodząc z grze-chochkami.

Drugi był Hotel Polski, przy ulicy Senator-skiej, niedaleko Białego Orła i na wzór jego urządzony; gospodarzem także Niemiec. Budowa ta nowa, pokoiu miała szcuplejsze i wynaj-mowane je ni wet dziennie, ale spokoju tu nie

było dla zbyt luźnej i hałaśliwej ulicy, i brudne zydostwo wciąż ją otaczało.

Najmowano także pokoiki w Marywilu, przytkającym do Senatorskiej i Wierzbowej ulicy. Był to gmach trzy czy cztero piętrowy, wprostokąt zabudowany, z dwoma większym i mniejszym dziedzińcem; ogromna ludność zamieszkiwała w jego wnętrzu a część zajmowały panny Kanoniczki. Mieściły się tu sklepy, sklepy, żydzi, warsztaty. Lokal był za mały wprawdzie na wzniesienie świątyni Salomona, ale dostateczny do nakrycia stołu na półtora osó. Ze mieszkania były tu dosyć tanie, rzadko ich dostać było można; w sklepionych podziemiach mieszkali żydzi. Wewnątrz dziedzińce otoczone były drzewami, a w ulicy jednej stała ładna kapliczka. W tej gospodzie Marywilskiej mniej wszakże było bezpiecznie niż gdzieindziej, i niemiec powiada, że się trafiły nie tylko kradzieże ale nawet zabójstwa. W Hotelu Niemieckim stawali tylko furmani, i ubożsi podróżni, chociaż pozór miał schludny. Wspomniałszy słowo jeszcze o szpitalach Dzieciątka Jezus i Sw. Rocha i o porządku miejskim świeżo przez sejm ustanowionym, który po 1792 nie trwał długo, przechodzimy do uwag o szlachcie, królu, senacie, arystokracji, ministrach i t. p. natchnionych zarówno, jak to co poprzedza, duchem szyderstwa i niechęci, ale opartym na dość dobrej znajomości kraju i ustaw które nim rządziły. Nie znajdujemy tu nic nowego i uderzającego, co by zasługiwało na powtórzenie, lub niewiadomem nam było z ką inąd lepiej i szczegółowiej.

(Dalej ciąg nastąpi.)

BRACIA ŚLUBNI.

POWIEŚĆ W 3ch TOMACH

Z CZASÓW AUGUSTOWSKICH,

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

Tom IIg.

(Ciąg dalszy) (*)

Graf był to człek jeszcze młody i niemający jak dwadzieścia siedm lub ośm lat wieku, ale twarz jego blada, pociągła i starannie ogolona od ucha do ucha, usta już trochę wywidła i peruka ogromna jak pudło spoczywająca na jego głowie, czyniły to że na pierwszy rzut oka nie można było rozpoznać, czy pod tą peruką młody udaje starego, czy etary kryje liczne lat swoich krzyżki. W brwiach tylko czarnych i równych i w oczach równie czarnych a pełnych jeszcze ognia i blasku, mieściły się pewne jego młodości świadectwa, ale tym trzeba się było bliżej dopiero przypatrzeć. Graf był zresztą słusznej i smukłej postaci, a lubo budowa jego nie była pełna i okrągła, toż te niedostatki tak umiała pokryć sztuki francuskiej wymyślność, że prócz jego kamerdynera każdy byłby przysięgał, że pan Graf okrągłością swojej budowy nie ustąpi w niczem Apollinowi. Jakoż i teraz dla tego zapewne, ażeby

Patrz Nr. 265, 266, 267, 268, 269, 270, 271, 272, 273, 274, 275, 276, 277, 278, 279, 280, 281, 282, 283, 284, 285, 286, 287, 288, 289, 290, 291, 292, 294, 295, 296, 297, 298, 299, 300, 301, 302, 303, 304, 306, 307, 308.

tajemnica jego kamerdynera nie stała się jeszcze i czyją inną własnością, lubo nie kazał pan Graf do alkierza wpuszczać nikogo, zarzucił jeszcze na siebie puderman jedwabny, cielistego koloru a w pasy niebieskie, który go tak całego okrywał, że podczas kiedy na dole nie nie widać było, tylko końce szklących trzewików z brylantowemi sprzączkami, to nad pudermanem podnosiła się tylko ogromna silnie opudrowana peruka.

Kiedy pan Podkomorzyc z swym dworzaniem, albo, jak go sam nazywał, wyrostkiem, wszedł do onego brudnego na przedce na gabinet przerobionego alkierza, Graf niespodziewając się nikogo obcego, ani się nawet oglądając; ale pan Podkomorzyc postąpił dalej a popatrzywszy dobrze w twarz onemu Grafowi i poznawszy go, serdecznym głosem zawołał:

— Bartku! jak się masz!

— *Que diable!*—zawołał na to przestraszony Graf i zerwawszy się z krzesła, podczas gdy lewą ręką puderman z przodu zatulił, w prawą porwał krucicę i w groźnej stanawszy postawie, zawołał:—*Qui etes vous? que me voulez-vous, Monsieur?*

Po tej odpowiedzi, której wcale się niespodziewał na swoje serdeczne zapytanie pan Podkomorzyc, trwała krótka chwila milczenia, po której pan Wincenty głowę opuściwszy ku ziemi, rzekł tonem żalonym:

— *Moi je suis ton frere, Barthélemy.*— Ale na to jeszcze Graf groźniej zawołał:

— *C'est n'est pas vrai! je n'ai pas des freres! vous etes un faux frere qui m'insulte!*—i równie groźnie patrzył obudwom w oczy; ale śród tego patrzenia wzrok mu zaczął się miękzyć powoli, twarz się mienić, a kiedy na ustach nie dawno co gniewem ściągniętych, uśmiech osiadł łagodny, to i szczerze uczucie serca w polskich odezwało się słowach:

— Wicuś! jak mnie Bóg miły, to Wicuś!

— Widzisz!—zawołał na to znowu od serca pan Podkomorzyc— chodź-że, niech cię uściskam!— i chciał mu się rzucić na szyję. Ale pan Bartłomiej z daleka tylko rękę wyciągnął i tak się powitał, bo wiedział dobrze, że gdyby się był rzucił w swego brata objęcie, to lubo może sercu byłoby się stało zadosyć, ale koszulka batystowa z koronkowemi żaboty i starannie upudrowana peruka, byłyby takimi wyszły z tych braterskich efektów, że znowu z godzinę trzebaby było strawić nad niemi, nimby się mogły pokazać na zamku. Ale nie miał tego na uwadze pan Podkomorzyc i smutno go przyjęło to chłodne powitanie Bartkowe, a to tak smutno, że nawet nie wiedział, od czego by miał dalszą począć rozmowę. Ale w tém zaczął Bartłomiej:

— *Mon cher*, ja tu jadę twego ojca odwiedzić.

— Bardzo się cieszę z tego i ja i mój ojciec cieszyć się będzie, ale przedewszystkiem powiedz mi, jak się *mon cher* mówi po polsku?

Dziwnie się na niego spojrział Bartłomiej, ale rzekł zaraz:

— Za cóż mnie się o to pytasz, kiedy sam wiesz? mówi się mój kochany, albo mój miły.

— Za cóż nie mówisz tak?

— Kiedym się już tak przyzwyczaił w Paryżu.

— To się odzwyczaj od tego w Polsce, bo to jak ciebie kocham, bardzo głupio wygląda. — Co!—zawołał znowu na to gorąco Bartłomiej—niespodziewam się przecież, żebyś mnie chciał nauki dawać na samym wstępie!

Spokojnie i dobrodusznie patrzył na ten gniew pan Wincenty, a kiedy jego spokój pana Bartłomieja obraził do tego stopnia, że aż krucicą ową, dotychczas trzymaną w rękę, gwałtownie o stół uderzył, rzekł mu brat jego:

— Mój Bartku! dobry z ciebie chłopak jak anioł, wiem o tém dobrze, bośmy przecie przez lat tyle na jednej ławie legali w Warszawie, ale widzę, żeś coś za długo się bawił tam gdzieś w Paryżu czy indziej. Nie moja rzecz jest dawać tobie nauki, jak masz co czynić i jak się zachować, ale kiedyś tutaj przyjechał i zapewne czas dłuższy zabawił, bo choćbyś się i rwał jechać to cię mój ojciec nie puści, radbym aby ci się tu podobało i abyś się tu zabawił. Również nie miłoby mnie było, gdyby jaka śmieszność na ciebie upadła, boć to jedna krew w nas płynie i jednym się szczyćmy klejnotem: tedy nie miej mi za złe, że ci dam jaką naukę.

— A no proszę.—rzekł na to Bartłomiej,—co z serca, to ja do serca.

— Tedy po pierwsze nie mów z francuzka, bo tu tego nie lubią i tak jest: kto ten język rozumie, ten widzi jako niewiele warta ta umiejętność i śmieje się z tego, który z nią lada chwila wyjeżdża; a kto zasie nie rozumie, ten nie rad, że się ktoś czeźsiej nad niego wynosi i jeszcze głośniej naśmiewa się z tego.

Uśmiechnął się na to pan Bartłomiej, a Podkomorzyc mówił dalej:

— Powtóre widzę, żeś trochę gorący, a to także nie dobrze. Z naszą szlachtą nie o każde słowo się zaraz obrażać i wołać na sprawy, bo tu ludzie nie oratory i często im się wyrwa co takiego, co na obrazę wygląda, a u nich to żart jest od serca. U tych ludzi zresztą szabla jest zawsze przy boku, a na nieszczęście sławni są z tego po świecie, że się dla krotochwili bijają, więc lubo n nie to wiadomo, że i u ciebie serce jest męzkie i nie uciekasz od szabli, jednak zawsze to moją radą, żeby się nie nadstawiać, bo by cię tu w lot zjedli, żeby i kosteczki nie pozostało.

Na to się jeszcze dziwniej uśmiechnął Bartłomiej, ale pan Podkomorzyc zabrał głos na nowo, mówiąc:

— Mój Bartku, kocham ciebie jak brata i od serca rad jestem temu, żem się z tobą obaczył, ale jam się już lat kilka z rodzicami nie widział i bardzo mi serce do nich ucieka. Uderaj-że się prędko i przyjeżdżaj do zamku, a tam przy wolniejszym czasie nagadamy się dosyć.

To rzekłszy, nachylił się przed nim i pocałował powietrze przed jego twarzą, a ścisnąwszy go jeszcze do tego za rękę tak szczerze, że aż stawy zachrobotały, zostawił paryzkiego eleganta przy toalecie, a sam z swoim wyrostkiem wsiadłszy na koń, klusem popędził na zamek.

Na zamku było dzisiaj wszystko jak bywało zwyczajnie. Podkomorzyc siedział w swoim pokoju i przy otwartych na galerijkę drzwiach szklanych, tak swój włóczęk na ryby; Kapełan siedział na swém krześle wyniostem i nie

już Chmielowskiego Ateny, ale czytał pisma Św. Bernarda, Bieda zaś po staremu stał przy papugach, ażeby wrzaskiem nie przerywały czytania. Po środkowej komnacie przechodziła się tam i sam pani Podkomorzyna i po odmownych paciérzach, frasośliwie się nad czerns namyśliwała, a na wielkiej galerji w drzwiach otwartych stała po staremu Barbarka i niby patrząc a niby nie patrząc na górę Stężnicką, zdawała się jednak na coś czekać albo czegoś wyglądać. I ani śniło się komu na całym zamku, żeby dzień dzisiejszy mógł w czém być odmienny od wczorajszego.

Wtém ze swoim konnym orszakiem wjechał pan Wincenty w dziedziniec. Pierwsza go ujrzała Barbarka i poznawszy natychmiast, jak błyskawica, która nagle z chmur spokojnych wypada z krzykiem: Wicus! Wicus! przyjechał! zbiegła po wschod ch w podwórze i stojącemu już przy swym koniu bratu, z płaczem się rzuciła na szyję. Na ten krzyk, matka, także sercu swemu nie mogąc się oprzeć i powagę od rzuciwszy na stronę, prędkim krokiem zbiegła na dół i nim się jeszcze własnymi oczami przekonać mogła, czy tak jest w istocie, klęcząc go już syna u nóg swych po macierzyńsku ścisnęła za głowę i włos jego w kędziory się zwijający, rzesistemi skrapiała łzami. Ale Podkomorzy, krzyk usłyszawszy, nie zrozumiał go zrazu, rzekł więc tylko do Kapelana:

— Zdaje mi się, że coś głośno w dziedzinie.

— Obaczemy, — odpowiedział na to Kapelan i powstawszy, poszedł ku drzwiom otwartym, aby spojrzeć w dziedziniec. Ale nim on okulary zdjął z nosa, przez które nic nie widział w oddali i ni n się przypatrzył, jakie to konie, wiele ich i jaka przy nich jest służba, pan Wincenty, prowadzony przez siostrę i matkę, w burce nawet jeszcze i przy szabli, leżał już ojcu u nóg i jakby dziecko dwuletnie płacząc, ścisnął jego kolana.

— Syn mój kochany! dziecko moje jedyne! — wolał wzruszonym głosem starzec ten siwołosy, podnosząc ręce obydwie do nieba, jak gdyby najpierw podziękować chciał Bogu za tę chwilę radości, i zapewne potym głośnym wybuchu rodzicielskiej miłości, byłby zaraz się jął do modlitwy, ale ledwie co podniósł syna i serdecznie pocałował go w czoło, takie łzy rzesiste się mu puciły z oczu, że przez chwilę ani słowa nie mógł wymówić ten starzec.

Śród tego czasu pan Wincenty, ujrawszy o kilka kroków od siebie stojącego Kapelana, który go wykołebał na swoim ręku. był jego nauczycielem i przewodnikiem jego lat pacholęcych, chciał się rzucić z powitaniem ku niemu, ale matka i siostra trzymając go z tej i owej strony za poły, z wielkiej radości i szczęścia przytrzymały go i nie dały ruszyć się z miejsca, co ujrawszy Kapelan, rzekł głosem także wzruszonym:

— Ciesz się już rodzicami, ja cię witam zdaleka, — i także łzy mu resztę głosu zalały. Wtém momencie jeszcze i sługa stary, białowłosy i latami zgarbiony, który pana Wincentego niastował i służył mu w pierwszym jego polu na przejażdżkach i łowach, a dalej już nie mógł przez wiek i opuszczające go siły, przywlokł się do Jegomościwego pokoju i mil-

czkiem z boku zszedłszy, z płaczem i jękiem prawie upadł mu do nóg. Więc ci, którym serce już się uspakajało, w nowe łzy wybuchnęli i tak te łzy i wzruszenia, przez długą jeszcze chwilę władając całą Balogrodzkiego zamku rodziną, nikomu nie dały ani słowa wymówić.

Wkrótce jednak uspokoiła się ta fala niezwykłego uczucia, a kiedy już jej miejsce zajęła tylko radość spokojna i wesoła świadomość szczęścia, pani Podkomorzyna wyszła, ażeby jakieś dyspozycje poczynić w kuchni, Ksiądz Kapelan usiadł napowrót na swoim krześle i z łez się ościarł, Barbarka stała o ścianę oparta i z ciekawością się przypatrywała stojącemu przed ojcem bratu, tylko Podkomorzy chodził jeszcze trochę żywiej po izbie, mówiąc co chwila:

— Jak się cieszę, jak się cieszę, to ci ani umiem powiedzieć.

Po chwili jednak uspokoiwszy się już całkiem, rzekł do swego syna, biorąc go oburącz pod pachy: *(d. c. n.)*

Zarząd XIII Okręgu Komunikacyj.

Dnia 27 listopada (9 grudnia) r. b., o godzinie 12ej w południe, odbyte zostaną w biurze Zarządu XIII Okręgu Komunikacyj dwie licytacje in minus przez opieczętowane deklaracje jedna na dostawę materiałów piśmiennych, rysunkowych, litograficznych i światła; a druga na roboty introligatorskie i zszywanie akt, dla tegoż Biura, w ciągu lat 1854, 1855, 1856.

Mający zamiar ubiegać się o pomenione przedsiębiorstwa, winni w miejscu i czasie wyżej oznaczonym złożyć deklaracje, podług wzoru niżej zamieszczonego napisane wyraźnie, bez skrobania, poprawek lub przekreśleń, niemniej dołączyć wad um do pierwszej licytacji rs. 140, a do drugiej rs. 12 i na koszt ogłoszenia licytacji po rs. 7.

Deklaracje po terminie oznaczonym złożone, lub napisane nie podług wzoru i zastrzeżeń niniejszym ogłoszeniem wskazanych, przyjęte nie będą.

Nieutrzymujący się przy licytacji, złożone kwoty zaraz odbierze, utrzymującemu się zaś wad um zatrzymane zostanie, jako kaucya, do czasu spełnienia przyjętych zobowiązań, a zwróconą będzie ze złożonej na ogłoszenie kwoty przewyżka, jeżeli się okaże po złożeniu przez Redakcyę Gazet rachunku.

Każdy Konkurent złoży do pierwszej licytacji świadectwo Magistratu miasta Warszawy nie wczesniej, jak na dwa tygodnie przed terminem licytacji wydane, jako utrzymuje skład materiałów tak piśmiennych jako rysunkowych, mianowicie papieru i farb zagranicznych, tudzież: materiałów litograficznych, a do drugiej przepisane świadectwo na wykwalifikowanego majstra rzemiosła introligatorskiego.

Warunki do licytacji przejrzeć można w Kancelaryi Zarządu XIII Okręgu Komunikacyj codziennie, wyjąwszy święta, od godziny 10 zrana do 3ej po południu.

D e k l a r a c y a.

W skutek ogłoszenia z d. 3 (15 listopada) r. b. podjętą niniejszą deklarację, iż podejmuję się dostawę materiałów piśmiennych, rysunkowych, litograficznych i światła (wykonania robót

introligatyrskich i zszywania akt) dla Biura Zarządu XIII Okręgu Komunikacyj, w ciągu lat 1854, 1855 i 1856, wedłu zatwierdzonych warunków, i odstępuję na korzyść Rządu od cen oznaczonych temż warunkami N. procentów, t. j. od każdych 100 rs. należytości jaka mi przypadać będzie, po rs. N. kopiejek N. (wypisać literami), poddając się wszelkim obowiązkom i zastrzeżeniom warunkami licytacyjnymi objętym.

Vadium rs. N. przy niniejszej deklaracji składam, które w razie nieutrzymania się sam odbiorę.

Stale moje zamieszkanie jest w N. piątym w N. dnia N. miesiąca N.

Warszawa dnia 3 (15) listopada 1853 roku.
Naczelnik XIIIgo Okręgu,
Generał Major, Książe *Teniszew.*
Dyrektor Kancelaryi, *Popławski.*

R. sr. 45, czyli Złp. 300.

Jeżeli który z panów Rejeantów posiada w aktach swych testament Fabjana Felicjana Kleceńskiego, późniejszy jak z roku 1816, raczy mnie zawiadomić o treści takowego, a ja wynagradzając kosztą szukania powyższą sumę zapłacić obowiązuję się, wyjmując ekstrakt testamentu tego — jeżeli kto ma wiadomość o prywatnem testamencie powyżej wzmiankowanego testatora, raczy mnie zawiadomić także za powyższą nadgodą jeżeli takowej żądać będzie. — Listy odbieram pod adresem Kleceński w Przasnyszu. — Proszę każdego o napisanie przez dwie poczty ażeby jeden z listów z pewnością mnie doszedł.

Uwadamia się Publiczność, iż DOM massiv murowany z 6ma takimiż oficynami, dwoma dziedzińcami i różnemi gospodarskimi zabudowaniami w Warszawie przy rogu ulicy Elektoralnej i Zimaiej pod Nr. 794 a. jest do sprzedania dnia 19 listopada (1 grudnia) 1853 roku. Dochód roczny jest 5,600 rs., z których odchodzi na podatki i ciężary rs. 880; w koło tej possessyi są sklepy na różne, handlu i fabryki, jakoteż w tej okolicy znajdują się różnych Władz bióra, przez co dom ten jest zamieszkały zawsze i intrata może być podwyższoną. — Bliższą informację poznać można u Właścicielki P. Fliadt w tymże domu mieszkającej.

Osoba w średnim wieku, opatrzona dobrmi świadectwami, umiejąca szyć i trochę krawiecczyną i chcąc się przytęm podjąć dozoru nad dziećmi, może się zgłosić na ulicę Sto-Jerską pod Nr. 1769 a. na pierwszym piętrze.

Wyprzedaj zupełnie towarów rozmaitych z handlu A. Speth po zniżonej cenie, odbędzie się obecnie przy ulicy Krakowskie-Przedmieście w nowym gmachu W. Grodzickiego, a mianowicie: materye jedwabne fasonowane, chustki i szaliki wełniane, jedwabne i aksamitne, bareże rozmaite, kaźmirowe sztuczki na suknie, szale francuzkie, materye półjedwabne, pokrycia na stoły wełniane, wólki rozmaite i t. d.

Zwadamiam, iż rozpocząłem udzielać LERCYJE TANCOW, tak w mieszkaniu własnem pod nr. 69 przy ulicy Rynek Starego Miasta, pierwszy dom od Jezuickiej na 2em piętrze od frontu, jako też po pensjach i domach prywatnych. Leopold Majewski.

Piotr Śliżyński, Nauczyciel TANCÓW, podaje do wiadomości, że udziela lekcyę, tak w swoim mieszkaniu, jako też po domach prywatnych; przytęm nadmieniam, że wyczuza Os by które wcale nie tańczyli i nie uczyli się, w 20tu kilku lekcyach 5ciu tańców najpotrzebniejszych; za pewność wyuzenia zaręcza; — mieszka pod Nr. 16 przy ulicy Sto-Jańskiej, na 1em piętrze; zastać go można od godziny 9 z rana do 7ej wieczorem.

Do dzisiejszego numeru dołącza się Korrespondent Nr. 92.

Woda Kolońska z Ostrowia znajduje się do sprzedania w składzie J. Unruh, ulica Senatorska Nr 460.